



WIECZORY RODZINNE

Alleluja!



Ku Tobie, Panie, z kościelnych wieży
Dźwięczy i huczy radośnie dzwon,
I z ludzkich piersi pieśń hołdu bieży,
Łącząc się z dzwonem w potężny ton.

Ku Tobie, Panie, w wiosennej krasie
Modli się cały zbudzony świat;
Dzień blasków przyszedł po mroków czasie,
Ptak dzwoni pieśnią, wonieje kwiat.

Ku Tobie, smutne serce człowieka
Dźwiga się z głębin bólu i lez;
U Ciebie pewny ratunek czeka —
Bo wszelkim troskom Ty kładziesz kres!

I jak świat budzisz z zimowej głuszy
Ciepłem i światłem wiosennych tchnień,
Tak też rozpraszasz mrok ludzkiej duszy,
Dzwon, co nam Święta zwiastuje dzień!

NA REZUREKCYĘ

Wstawaj! wstawaj! wstawaj!..
Dźwięczny a szczebiotliwy, jak sygnaturka kościelna, głos Zosi wydzwonił trzykrotnie, wołanie to przed moimi drzwiami. Jednocześnie okiennice drewniane z hałasem rozwarły niewidzialne dłonie i mętny, szary blask zapełnił sypialnię. Zerwałam się z łóżka i czempredzej poskoczyłam do okna. Była godzina czwarta, więc chciała wrażeń pewna byłam, iż wiosenny ten poranek, pierwszy w życiu o tej porze na wsi przeze mnie spędzony, powita zaspiane moje oczy całą pełnią purpury złota i innych barw, o których gloszą poeci.

Ale na świecie szaro było od mgieł tłukących się nisko nad ziemią, a gałęzie kasztana, co podchodzą pod okno samo, — połyskiwały długimi kroplami dżdżu.

Ooo... westchnęłam przeciągle i z wielkim zawodem w głosie. Tymczasem u drzwi znów rozległo się energiczne stukanie i głos Zosi zadzwonił ponownie:

— Wstawaj Marysiu! bo spóźnimy się napewno. Kościelny już znać dawał babuni, że za chwilę jutrznią śpiewać będą.

Zacząłam się ubierać z niesłychanym pośpiechem. Zosia tymczasem, znudzona czekaniem pode drzwiami, weszła do pokoju i usiadłszy w fotelu, niecierpliwie dłonią bębnić zaczęła po stole.

— Maruda! rzekła wreszcie z niewysłowioną pogardą przyglądając się, jak drżącymi od pośpiechu rękami starałam się upiąć jako tako włosy na głowie.

Nareszcie byłam gotowa. Zosia wcisnęła mi w ręce książkę do nabożeństwa; pobiegła przodem, wskazując drogę.

— Babunia i reszta — trzepała — już dawno poszli całą gromadą. Boję się, czy się wtłoczymy do kościoła i do ławki, ale kazałam Józefowi stać w krucie, to nam utoruje drogę. — Szłyśmy udeptaną mocno drożyną, co przez łąki wiodła do pobliskiego kościoła. Zdała dochodziło jakieś gromadne, jęklive śpiewanie, gdzieś ode wsi dołatywał turkot jadących wozów i poszczekiwanie psów. Łąki, pokryte ubogą, wymarłą trawą, połyskiwały wielkimi kroplami rosy a powierzchnia stawu z daleka wydała mi się podobną do olbrzymiej taflii ołowiu.

Zresztą widzieć nie można było wszystkiego dokładnie, bo gęsta mgła wisiała w powietrzu i ciężkimi chmurami zasnuwała bliższe i dalsze przedmioty.

— Widziałas już w tym roku bociany, Marysiu? — pytała Zosia odwracając ku mnie swoją wesołą, różową twarzyczkę. Paluszkami wskazywała mi w górę; podniosłam więc oczy, lecz prócz mającego w nieprzeniknionej szarości rosochatego pnia topolowego, nic rozróżnić nie byłam w stanie.

— To nic, zobaczysz później, jak mgła opadnie, pocieszała mnie Zosia i wpatrzyła się w niebo. — Mówił mi ogrodnik, że się dziś zanosi na śliczną pogodę.

Pomyślałam, że tej prześlicznej pogody trudno podziwiać w tej chwili, uwagę tę jednak pokryłam milczeniem. Na przydróżku leżał motyl bury, skulony i zziębnięty i on zdaje się również mało znajdował pociechy w pogodnych przepowiedniach ogrodnika na cały dzień.

Nagle zakłębiła się mgła, zaszumiały drzewa bezlistne w nagie gałązki i prawie nad naszymi głowami buchnął dźwięk przeciągły rozbujałych dzwonów.

— Procesya wychodzi — krzyknęła Zosia i co tchu biegnąc zaczęła przed siebie.

Istotnie wychodziła procesya. Zatrzymaliśmy się na cmentarzu, a przez szeroko otwarte drzwi kościoła rojno wysuwać się jęły barwisto przepasane granatowe sukmany

chłopskie, a potem niby garście kwiatów pełne, różnokolorowe wełniaki kobiet, pookrywanych chustkami...

Po chwili z mrocznej głębiny kościoła wykwitło ponad naszymi głowami kilka proporców i chorągwi czerwonych nakształt maków, błysnęła złotem krzyż, buchnęło migotliwe światło świec i zaraz potem wśród dymu trybulary pod baldachimem białym zajaśniała monstrancja. W kościele zagrzmiały organy, na wieży rozświetlona jak skowronek trzepotała się sygnaturka a dzwony rozbujałe, rozśpiewane, huczały. Szła procesya dokoła murów kościelnych, szarych, obślizgłych wilgocią, wśród śpiewu, bicia dzwonów i blasku...

Śpiewali... a ze stęsknionych za wiosną piersi ludzkich wybuchał okrzyk potężny błagalny, a zarazem radosny: Alleluja!

„Wesoły nam dziś dzień nastał,
Którego każdy z nas żądał.”

Do tej pory mam uszy pełne tych radosnych, tryumfalnych prawie tonów, a w oczach pełno blasku i światła.

Wnętrze kościoła gorzało jarzącym światłem świec, wysmukłe świerki, ołtarz zdobiące, napełniały nawę aż po sklepienie ożywym, żywicznym zapachem. A pod łukowate to sklepienie płynęły szepty modlitwy, rozmodlone oczy wznosiły się ku niemu, kto wie może w nadziei, że wzrosta się ono nagle i ukaże się w swej niepojętej chwale On, Zwycięzca, Baranek Boży. A za innymi szły w górę i moje oczy i modre źrenice Zosi całe skąpane w radosnych a dziękczynnych łzach.

Na świecie mgły znikwały stopniowo. Przez otwarte drzwi kościelne widzieć można było błękitną roztocz kwieciowego nieba, która oswobodzona z mgieł zaczynała złocić się metalicznie i przesiąkać przedziwną, delikatną a czystą barwą różową. Wschodziło słońce...

Gdyśmy po tej samej drożynie mocno udeptanej wracali do domu, jasno było, świetlano i świeżo. Zdaleka połyskiwał żywym srebrem staw, na wysmukłej topoli dwa bociany stały poważnie w gnieździe i zarzuciwszy karki aż na grzbiet i skrzydła czarne, czerwone dzioby podniosły do góry, klekocąc zawzięcie.

Motyl czerwony, rozbudzony ciepłem słońca, podlatywał w różne strony a spłoszony ludźmi i gwarem, leciał przed nami w złotej smudze światła, podobny sam do pływaka.

— Prawda Marysiu, dobrze jest żyć w taki poranek, szepnęła Zosia, uśmiechając się jasna z radości jak zorza.

Po długiej zimie... po śmierci pozornej obudzić się niby z ciężkiego snu.

Ach, jak dobrze...

Z. D.

O MIŁOSIERDZIU BOŻEM.

Z nauk ks. Gralewskiego.

II

A jakże ty się zachowujesz? Widzisz ze strony Pana Boga takie wielkie miłosierdzie, a po twej stronie co też sprostregasz? Podobno niedbalstwo, nieposłuszeństwo, krnąbrność... Zastanów się nad sobą. Kto ty jesteś? Dziecko małe, słabe, skłonne do choroby, niedołążne... trochę większa praca cię męczy... jak nie dojesz, już słabniesz jak nie dośpisz, — jesteś do niczego... poślizniesz się, możesz nogę złamać... w czasie burzy w jednej chwili życie utracić możesz. Ile to masz w sobie słabości... ileż ci grozi niebezpieczeństw! A czemuś zasłużył na ratunek u Boga? Cóżś zrobił dobrego? Ze się paru lekcji nauczysz, bojąc się, żebyś dwójki nie dostał? Ze czasem coś dobrego

zrobisz, bo się spodziewasz za to przyjemności jakiej? Albo od czego złego się powstrzymasz, bo kara ci grozi?.. Jeśli w twojem postępowaniu jest mało dobrej woli, jeśli tylko dla pochwały, albo dla uniknięcia kary robisz postępy, to choćby one były zadawalniające, przed Bogiem nic nie znaczą. Jeżeli ty kochasz rodziców, kochasz Boga, spełniasz swoje obowiązki nie dla tego, żeś powinien, że ci tak sumienie każe, ale dlatego, że się kary obawiasz... toś ty nie jest dobrem dzieckiem.

Ale może właśnie tak nie jest, możebyś mi mógł o sobie inne dać świadectwo, to ciesz się, moje dziecko... winszuję ci tego... Kiedyś będzie z ciebie człowiek. Niechże każdy zastanawia się nad sobą, a jeśli pozna swój obraz w tym złym, albo w tym dobrym chłopcu, niechże się stara albo zmienić i poprawić, albo (w drugim razie) jeszcze lepiej nadal postępować. Właśnie teraz pora, bo wieście, moje dzieci, że i o złych Pan Bóg nie przestaje się troskać i czeka na nich, żeby się poprawili. I na ciebie Pan Bóg czeka już dawno. Już od lat kilku korzystałeś z tych darów Bożych: rozumu, woli, sumienia... już od tego czasu, kiedyś źle zrobił, to już nie bezwiednie, już grzeszyłeś.

Od 7-go więc roku Boga obrażasz, a masz już teraz 10, 12, może więcej lat. Od kilku więc lat czekał Pan Bóg na twe nawrócenie, i teraz chętnie cię widzi na tych przygotowaniach. Niegdyś Pan Jezus powiedział przypowieść, którąście pewno słyszeli, albo czytali, że pewien gospodarz zasiał swoje pole pszenicą, ale gdy śludzy poszli ją oglądać, zobaczyli, że pełno było wśród niej kąkolów, chcieli więc co prędzej kąkol powyrwać, ale Pan im nie pozwolił, mówiąc: „Poczekajcie... żebyście z kąkołem nie wyrwali pszenicy.” Tu właśnie Pan Jezus chciał przedstawić, jak cierpliwie i długo czeka Pan Bóg na grzeszników i nie karze ich zaraz.

Prawda, że z kąkolów nie może zrobić się pszenica, ale z grzesznika może się stać dobry człowiek... I na to właśnie Bóg czeka. „Nie chcę śmierci grzesznika, ale żeby się nawrócił i żył.” I ze złego chłopca może się stać dobry, i nad tem właśnie Pan Bóg pracuje... a jak usilnie! Wszak i głosem sumienia niepokoi, i przez starszych karze, abyście się tylko poprawili, bo On chce wam przebaczyć i kochać was. Kiedy Pan Jezus umierał na krzyżu, było obok niego ukrzyżowanych dwóch łotrów. Do jednego z nich rzekł: „Dzisiaj będziesz ze mną w raju.” I to powiedział do łotra, do człowieka niegodziwego, zbrodniarza, którego już nietylko Bóg, ale i sami ludzie karali. Taki to był niegodziwy człowiek, a Pan Jezus powiedział: będziesz ze mną w raju... i to nie kiedyś, po długim czasie, ale dzisiaj. — Za cóż to on ma być w niebie? Za to, że tyle nabroił?.. Dzieci drogie, za to, że współczuł Chrystusowi Panu, że uwierzył weń, kiedy Mu wszyscy urągali, że zasmucił się swoim złym życiem, że z całą nadzieją ufał, iż mu Bóg przebaczy. I za to jedno odezwanie się: „Panie pomnij na mnie,” za to uczucie żalu i miłości, wszystko mu Bóg odpuszcza i do nieba przyjmuje.

Przecież, moje dzieci, tyle i takich grzechów, co ten łotr, nie macie... więc tembardziej możecie mieć nadzieję, że i wam Bóg przebaczy. Przy spowiedzi św. dzieje się to przebaczenie, i do niej właśnie przyspasabialiście się niedawno. Nietylko was czeka przebaczenie, ale najmilsze od Boga przyjęcie. Pamiętacie przypowieść o synu marnotrawnym. Jak to on porzucił dom ojcowski, źle żyjąc, roztrwonił wszystko, co miał, i wreszcie przyszedł do takiej nędzy, że chętnie byłby się pożywił tem, co dawano wieprzom, które on pasał. Wygłodzony, zgnędzniały, przypominał sobie szczęśliwe czasy w domu ojcowskim, zastanowił się nad swoją niegodziwością i pełen żalu udał się w drogę z tym zamiarem, że upadnie do nóg ojcu, wyzna mu swoją winę i błagać będzie, aby go chociaż za sługę przyjął. „Wstanę, pójdę do ojca mego i powiem mu: Ojcie, zgrzeszyłem przeciw niebu i przeciw tobie. Jużem nie jest godzien zwać się synem twoim, ale uczyni mnie jako jedne-mu z najemników twoich.” Co postanowił, to zaraz wyko-

nał. Gdy już był blisko domu, ojciec, który go spostrzegł wracającego, wybiegł naprzeciw niemu, z najczulszą miłością przywitał go, całując i ściskając, prowadził do mieszkania, kazał go ubrać i obuć, urządził ucztę, sprosił przyjaciół, a uradowany — i ich pobudzał do radości, mówiąc: radujcie się i weselcie, bo oto syn mój zginął, a znalazł się, — umarł, a ożył. Oto obraz Boga, który tak się cieszy i raduje, gdy się grzesznik nawraca. Taką radością przejmują się Pan Bóg i teraz, widząc gromadkę dzieci, przygotowujących się do Sakramentu pokuty. Ale, dzieci drogie, czy to przygotowanie na tem tylko ma zależeć, że raz na tydzień posłuchacie nauki, że się nauczycie, kilka pytań z katechizmu? Nie, przygotowania rozumu i pamięci nie dosyć, trzeba przygotowania serca i woli. Już od dziś macie się przygotowywać, to jest poprawić się, tak jak gdybyście już dziś się spowiadali.

Czekacie na odpuszczenie grzechów waszych, nie przymnażajcie ich od dzisiaj, nie grzeszcie już więcej... bądźcie od dziś dobrymi synami, dobrymi braćmi, dobrymi uczniami... Przygotowanie się wasze niech polega na niegrzeszeniu. Syn marnotrawny kiedy wracał do ojca, już przez drogę nie grzeszył, ale rączo biegł; tak i wy, powracając do Pana Boga, biegnijcie drogą prawdy, przez pełnienie drobnych obowiązków waszych i posłuszeństwo. Zrzeknijcie się złych obyczajów, zrzeknijcie się wad swoich, zrzeknijcie się tego wszystkiego, co w was bywa ganione, karczone karane. Jesteście dziećmi marnotrawnymi, wracajcież do waszego Ojca Niebieskiego, najpierw przez poprawę, następnie przez sumienne uczęszczanie na nauki przygotowawcze; od rana do wieczora pilnujcie się i strzeżcie, abyście nie grzeszyli; niechaj sumienie strzeże waszego postępowania, a wy głosu jego pilnie słuchajcie. *olt*

Zofia Kłowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Uczni oddawna starali się zbadać pochodzenie i zwyczaje cygańskie. Czynili też głębokie studia nad językiem cygańskim, który podczas wiekowych wędrówek zmienił się pod wpływem języka tych społeczeństw, wśród których cyganie przebywali. Otóż na zasadzie owych badań stwierdzono: że cyganie przybyli z Indyi; że należą do kasty *Sudra*, jednej z najniższej i w największej będącej poniewierce. Już od pięciu wieków wędrują po Europie, zajmując się przeważnie kradzieżą i oszustwem. Wszakże w Węgrzech, Rumunii i Serbii bywają kowalami i kotlarzami. Do robót około roli nigdzie, pomimo usiłowań, nakłonić się nie dali. Biedni ludzie — zakończył — zupełnie niezdolni do pracy.

— Ale przecie, kiedy się narody dzikie cywilizują, to i nad cyganami praca misyonarska...

— Niezawodnie. Może po wielu wiekach cyganie wsiąkną powoli w społeczeństwa, wśród których żyją i przestaną się włóczyć po lasach, poprostu przestaną istnieć; ale na nich mamy dowód, co znaczy rasa i jak trudno zwalczyć i przerobić usposobienia rasowe.

Wśród tej rozmowy dociągnięto do domu, gdzie Zosia czekała już z kolacją. Wszyscy byli zgłodniaли i kwaśne mleko z kartoflami miało ogromne powodzenie. Dołożono do tego mnóstwo chleba wiejskiego z masłem, z szynką i z serem. Szczególniej Zdzis miał apetyt iść żołnierski.

— Wcale nie generalski, tylko żołnierski — mówiła Alusia.

Do pow. „Stefek Luty w Brazylii.”

— O, — odezwała się pani generałowa! — Ona naturalnie wie, jaki generałowie mają apetyt!

Przy kolacyi ubawiło dzieci to, że pan Chlewiatko potrzebując chustki do nosa, wyciągnął z kieszeni jakiś okropny gałgan. Gałgan wyniesiono ze śmiechem w tryumfie szcypcami od kominka. Nie docieczone nigdy, czy to był cygański jakiś figiel, czy to zacny profesor sam przez roz-targnienie zostawił chustkę do nosa na krzaku, a do kieszeni schował suszącą się pieluszkę cygańskiego niemowlęcia. Alusia bowiem utrzymywała stanowczo, że tę piękną sztukę bielizny widziała w obozie cygańskim, wiszącą na młodym świerku.

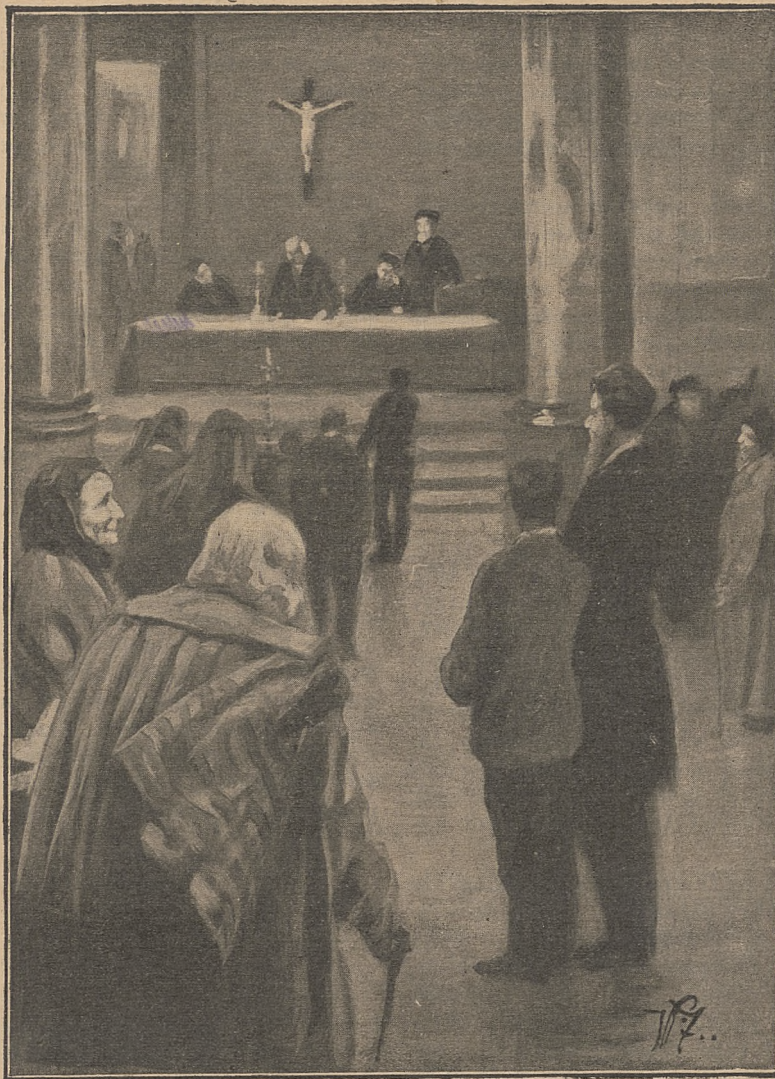
V.

Po tej wycieczce do lasu wszyscy w domu spali wysmienicie. Nikt nie słyszał wielkiego ujadania psów. Dopiero mocne stukanie w okiennice pokoju, gdzie sypiał pan Zabrzski z chłopcami starszymi, sprawiło, że wszyscy trzej zerwali się na równe nogi. Otworzono okno, pod którym stał stróż, wołając:

— Proszę pana, trzaby wyjść z fuzyą... trzaby ludzi zwołać, bo widzę światło pod dachem nad stajnią. Chciałem tam pójść, ale stoi dwóch drabów z drągami i od psów się opędzają. Jeszczeby człowiekowi zdrowie odjęli! Może być z tego pożar!... Może być złodziejstwo...

— Dobrze, dobrze, Wojciechu, zaraz idę z fuzyą!

Pan Zabrzski począł się śpiesznie pociemku ubierać, Zdziś i Józio czynili to samo. Obadwaj byli trochę w strachu, a przecież pragnęli należeć do wyprawy. I bali się trochę tych drabów z drągami, stojących pod stajnią i pragnęli ich zobaczyć na własne oczy. Przytem Zdziś myślał, że przyszły wojskowy musi być zawsze na wszystko gotowy. Józio umacniał się w odwadze, myśląc, że misjonarze często nawet na piecyste przez dzikich podawani byli, więc przyszły misjonarz musi się odznaczać wysoką pogardą śmierci; zaś z takiej pogardy wyrasta prawdziwa odwaga. Obadwaj trzęsącymi się rękami wdziewali suknie, a przyznać musimy, że Józio czynił to jednak przytomniej i spokojniej niż Zdziś. Pobiegli za ojcem, który wziął dubeltówkę i ze stróżem szedł ku stajni. W świetle księżycy ujrzeli w istocie dwie postacie, stojące przy stajni od strony szczytowej. W szczybie były drzwi przez które noszono na poddasze słomę i koniczynę, drzwi te stały otworem i były całe oświetlone przez światło wychodzące ze środka. W tej chwili jakiś człowiek z latarnią w ręku ukazał się w nich,



| Rys. Wł. Jasiński.

...Luty pierwszy raz widział przybytek sprawiedliwości, gmach, w którym się waga losy tylu ludzi. (Rozdział IV).

zbiegł szybko po przystawionej drabinie i wraz z wartującymi towarzyszami puścił się lotem strzały w pole. Ojciec wraz z chłopcami i stróżem poczęli biedz z nimi, krzycząc, by stanęli, bo padną od kuli; pan Zabrzski strzelił nawet w powietrze, ale przeszeń dzieląca uciekających stawała się coraz większa, las był coraz bliżej, wreszcie i człowiek z latarnią, która zgasła przy ucieczce i ludzie z drągami zniknęli w borze.

— Czemu tatuś do nich nie mierzył? — zawołał Zdziś, którego ta gonitwa tak zajmowała, że mu prawie przytomność odjęła.

— Czybyś chciał, że bym zabił człowieka? — zapytał pan Zabrzski. — Nawet nie wiemy, co ci ludzie robili. Z pewnością są to złodzieje, może nasi przyjaciele wczorajsi z obozu cyganów; ale raczej wolałbym by mi wszystkie konie ze stajni wyprowadzili, niż żebym miał zranić którego z nich.

— Tatuścio jest prawdziwy chrześcijanin! — zawołał Józio.

— Tylko sobie nie zdaję sprawy, co ten człowiek robił na strychu stajni.

— O, to przecie nietrudno zgadnąć — ozwał się stróż. — Stajnia na łańcuch wewnętrzny zamknięta a w pułapie jest kłapa, która się otwiera i przez ten otwór koniczyne i słomę zrzucają. Ten łotr chciał się spuścić przez kłapę, odcepić łańcuch, otworzyć drzwi tym drugim drabom i poprowadzić co najlepsze konie.

— Może być! Nie przyszło mi to na myśl.

— Oho, co prawda, to nie grzech, człowiek wie jak trawa rośnie! — chwalił się Wojciech. — Taki co je stróżem, to musi być okrutnie chytry! Musi być kuty na wszystkie cztery nogi, jak to powiadają i musi być znający wszystkie przespigi!

— Pewnie, że musi być czujny i mądry — rzekł pan Zabrzski.

Wojciech tym komplementem doprowadzony do wybuchu zarozumiałości, mówił dalej:

— Bo co prawda, to nie grzech; taki człowiek co se całą noc spokojnie w łóżku pod pierzyną abo i pod zwyczajną płachtą sypia, to nie może być taki mądry jak ten, co w dzień śpi a w nocy myśli. Juści od myślenia człowiek mądrzeje... mądrość je od myślenia, a tu w dzień niema kiedy myśleć! To ci baba w głowie zawraca, to ci dzieci paplą, to się chłopcy kłócą, to przyjdzie kto z jaką nowiną i myśl ci poleciała, jak nie przymierzając kura przed głupiem szczenięciem. A w nocy to ci nikt nie przeszkodzi,

bo choć pies za nogą ci idzie, to pies je stworzenie niena- przykrzone. Jak szczeka, to już wie czego, a jak spokój w około to i pies cicho siedzi. Nie tak, jak człowiek nieje- den, co wciążby paplał a paplał i albo lamenta albo chichy wyprawiał!

— To każdy stróż jest mądry? — zapytał Zdziś.

— No, są takie, co i nie bardzo mądre, ale jeżeli z dwóch głupich jeden jest stróżem, to zawsze będzie mą- drzejszy od tego, co stróżem nie jest. Ale za to jak z dwóch mądrych jeden jest stróż, to tego drugiego mądre- go gdzie prześcignie! Taki co se całą noc śpi pod pierzy- ną, abo i pod płachtą, je zawsze trochę głupi, co prawda to nie grzech!

— A to nam Wojciech komplement powiedział — szepnął Józio do Zdzisia.

— Stróż to się musi i na człowieku znać i wiedzieć któremu dobrze, a któremu źle z oczu patrzy; musi się znać i na zwierzęciu, jak się które odzywa i wiedzieć jak to po nocy się rozlega końskie grzebanie i tupanie w stajni, a jak się rozlega złodziejskie czajenie się. Dobry stróż to wie od- razu, aby spojrzął, który je złodziej, co furę pod karmnego

wieprza podprowadza, a który je taki, co se nocą drogą je- dzie, bo mu tak wypadło... Ho, ho, co prawda to nie grzech, mnie to już nawet ludzie z mądrości znają. Abo i Stasiek! Jak się miał żenić tak prosto do mnie! Tak peda: „Woj- ciechu, wy jesteście człowiek znający, a mnie już trza się żenić, bo mi się już te koszule dra, co matka nieboszczka poszyli, a niema komu porządnie załatać. I za opierunek płacę i kaftan mi zginął z płotu, com go kupił na jarmarku.

— Płot kupił na jarmarku? — zawołał Zdziś.

Wojciech spojrzął na chłopca, jak na człowieka, który pod pierzyną abo i pod płachtą w nocy sypia. Nie raczył nawet odpowiedzieć, tylko prawil dalej:

— Tak ja do niego, niby nie rozumiejący. „A cóż ty do mnie tak o żonę zajeżdżasz? Czy chcesz, żebym ci moją Hanusię dał, co jej dopiero dziesięć lat?” A on się jeno w głowę podrapał i peda: Ee, tam dla Hanusi chłopak jeszcze musi ze sześć lat rosnąć, ale jabym chciał, żebyście mi dziewczkę naraili. Zeby była mocna, żeby se półkorczyk zboża na plecy sama zarzuciła... żeby to nie było nikłe a delikatne, ale żeby się na gębie świeciła i żeby była czer- wona i podufała. Taka je najmocniejsza!” „To se bierz



Święte Niewiasty: Marya Magdalena, Marya Jakóbową i Salome, idące do grobu Chrystusa Pana w dzień Zmartwychwstania.

Józkę, tę sierotę po Krawczyku!" „Ba, żebym miał brać Józkę, tobym się was nie radził! Dziewka zła jak zmija... co mi po takiej! Jabym chciał takiej, coby była dobra, coby mi marnego słowa nie pejdziała." „To tak gadaj! Najrzód rzekłes o mocnej i czerwonej, a świecącej na gębie, to ja jak w dym do Józki. Ona do roboty dobra, ale co jędza to jędza! Co prawda to nie grzech!" A potem mu tak pejdziałem: „Słuchaj chłopcze, kiedyś się udał do mnie, to ja ci dziewczę naraję, ale tu trzeba myślenia, żeby wszystko było, jak ty chcesz. A na myślenie najlepsza noc. Ja mogę wszystko wynysleć, jak wartuję w nocy..."

(d. c. n.)



Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)



eraz milcz i rób co ci każą, inaczej skończymy z tobą prędzej niż się spodziewasz. Dość już narobiłeś nam kłopotu! — krzyknął człowiek o oliwkowej cerze i wsunął deskę w otwór okna. Leon, bo on to zrzucił przed chwilą wasy i brodę, które nałożył dla szpiegowania Stefana, Leon wiedział, że groźba herszta zbójckiej bandy przynosiła nieszczęście. Drżał przed nim nawet Szwarz, cóż dopiero taki niedoświadczony nowicysz w rzemiośle, jak Ziemiak. Wujaszek, ten sam Wujaszek, który częstował go u Werębka cygarami, a potem uciekł z Rogoźna po spełnieniu zuchwałej kradzieży, był teraz panem życia i śmierci siostrzeńca. On to wciągnął go do swoich sprawek. Spotkali się przypadkiem w Poznaniu, gdzie Leon poszedł za robotą i byli odtąd nierozłącznymi towarzyszami. Ale Poznań nie dawał pola do operacji na większą skalę. Przytem Jacek Żądło, gdyż tak się zwał szanowny Wujaszek, ściągnął na siebie uwagę policji. Należało uciekać z Poznania, a gdzież uciekać jak nie do portowego miasta, do Bremy? Żądło zabrał z sobą Leona, bo podziwiał zdolności chłopca. Los zdarzył, że trafili w szynku Szwarca nad tak zwaną robotę. Ktoś wszczął bójkę, chodziło o uprzątnienie niewygodnych świadków kradzieży. Żądło oddał przy tej sposobności przysługę szynkarzowi i odznaczył się wyjątkowym sprytem, Szwarz więc zapoznał go z Salcmanem. Banda pozyskała w wujaszku dzielnego sprzymierzeńca. Bywał on już dla ważnych spraw w Berlinie, a obecnie od dłuższego czasu bawił w Anglii, tam odesłano mu też Leona po niefortunnym napadzie na kantor O'Cleara.

Ziemiak okazał się niezdatnym do tak ryzykownych przedsięwzięć. Oszukiwać łatwowiernych chłopów potrafił, potrafił także wybornie ściągać sakiewki z kieszeni przechodniów lub okradać strychy, ale wyprawa po skarby bremeńskiego bankiera wywarła na niezupełnie jeszcze zepsutym chłopcu bardzo silne wrażenie. Zal mu się zrobiło Stefana, o którym sądził, że został zabity, i dla zagłuszenia wyrzutów sumienia pił całymi dniami. Po pijanemu prawił niebywałe historie, groził nawet Szwarzowi, że sam odda się w ręce władzy, bo prześladowają go straszne widzenia. Spiskowcy woleli usunąć z Bremy niewygodnego świadka, odesłano więc Ziemiaka Wujaszekowi do Londynu.

Wujaszek znajdował się właśnie w zatargu z policją i chcąc zmylić jej ślad, wynalazł sobie kryjówkę na poddaszu. Gdyby obstawiono strażą dom, do którego wchodził, mógł uniknąć pościgu, przebiegając po desce przestrzeń, dzielącą go od sąsiedniej kamienicy.

W tej to ciemnej kryjówce przyjmował dziś Żądło niezwyczajnego gościa. My bliżej wtajemniczeni w dzieje bremeńskich podziemi domyślamy się może, kto był oficer w czerwonym mundurze dragonów, ale obecność takiego dygnitarza na strychu, w brudnej dzielnicy Whitechapel słusznie dziwiłoby mogła londyńskich konstablów. Zwykli oni zwracać baczną uwagę na tę najnędnniejszą część miasta.

To też pułkownik schował pod stary płaszcz mundurową czapkę, na głowę włożył duży, z szerokim rondem kapelusz i szedł tak prędko wązkiemi uliczkami, że Wujaszek z trudnością nadszedł mu zdołał. Rozmawiali urywaniem zdania.

— Jak go zwabisz? — pytał mniemany wojskowy.

— Mam już plan, da się oszukać, trzeba tylko, aby ktoś pewny pomógł mi przy moście.

— Poślę ci Holofernesa, ale nie bierz z sobą Leona, gotów się rozczulić i zdradzić.

— Głupi, trzeba mu wyrobić fahrkartę i wysłać do Ameryki.

— Tak najlepiej. Nie zapomnij zawiadomić Szwarca, gdy będzie po wszystkim. Niemiec w strachu o swoją skórę.

— Dru tu darmo nie poślę, a ja dziś i wczoraj bez obiadu — mruknął opryskliwie Wujaszek.

— Pieniądze dam ci jutro. Spodziewam się tej nocy kilku ptaszków, których powinieniem oskubać. A teraz zabieraj płaszcz i kapelusz. Spraw się dobrze, czekać cię będzie o dziewiątej w moim mieszkaniu. Możesz przyjść przebrany za posłańca. Bezpieczniej to niż wałęsać się po Whitechapel w takim mundurze.

Pewnie, jego ekscelencya pułkownik John Dudley Honduras, bo znajomy nasz bremeński tak się zwykł był tytułować w hotelu, w którym zajmował wspaniałą apartament, jego ekscelencya musiał zachować należytą ostrożność. Inaczej bogata młodzież, zgromadzająca się u niego na wspaniałe przyjęcia, mogłaby nabrać podejrzeń co do uczciwości gościnnego gospodarza lokalu. Gospodarz częstował hojnie winem i skwapliwie rozstawiał zielone stoliki a że tam potem ten lub ów z lekkomyślnych paniczów zgrał się w karty, że jak mówił mniemany wojskowy do Wujaszka oskubano kilku łatwowiernych ptaszków, to i cóż z tego? Ptaszki były młode, i zarozumiałe. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na karty, które grał pułkownik. Takie rzeczy rozpoznaje najlepiej policja, ale wspaniała John Dudley umiał dotąd uchodzić szczęśliwie jej pościgu. Smutno to i przykro stawiać przed waszemi oczami, takie obrazy, otwierać drzwi do nor występnych, jak dom gry, lub tajemnicze poddasza, w których kryje się zbrodnia. Ale niestety, każdy może być narażony na pokusę złego, uzbrojcież się naprzód w siłę potrzebną do odparcia tej pokusy. Zapewne nie zetkniecie się nigdy z bandą złoczyńców, jaka czyhała na Stefana Lutego, ale kto wie, czy nie większe grożą wam niebezpieczeństwa. Zło przybiera często pozory ponętnej rozrywki, lub niewinnego przyzwyczajenia, a jednak kryje w sobie zarody zguby!

Porachujcie się z sumieniem, wy wszyscy którzy te słowa czytać będziecie, czy dziś już nie dajecie posłuchu złym namowom, czy nigdy Anioł Stróż nie odwróci zasnucony swego jasnego oblicza od waszych serc dlatego, że te serca skalały się brudną myślą, lub broń Boże grzesnym czynem. Nauka, szkoła, odrywa wielu z was od rodzicielskiego domu. Tyłu młodych żyje zdala od opieki dobrego ojca, od czujnego oka matki, tyle jest zresztą sierot, że muszą sami sądzić, co jest złe a co dobre. Do was wszystkich zwracam się z upomnieniem i przestroją serdeczną. Miejcie litość sami nad sobą. Nie ulegajcie pokusie grzechu, bądźcie skromni, pracowici, obyczajni, powściągliwi, szanujcie zdrowie duszy i ciała, bo jak powiedział Jakób O'Clear: każdy jest kowalem własnego losu, jaki wykuje taki dźwigać musi. Wierzcie mnie, bo kocham was, młodzieży, ciężkie jest życie tych, którzy przez lekkomyślność

lub fanfaronadę dali się pociągnąć zgubnym przykładom. Zbójca w rodzaju, Szwarca lub Salcmanna zabija jedną, czasem kilka ofiar, ale zepsuty kolega lub koleżanka zabijają swym wpływem dziesiątki, a nawet setki dusz.

Stefan wprost z sądu wrócił do gościnnego domu O'Clearów, ale wrócił sam. Jakób pożegnał chłopca przed drzwiami mieszkania, i pewny, że Lutemu nie grozi tu żadne niebezpieczeństwo ze strony Ziemiaka, poszedł robić zakupy przedmiotów, potrzebnych mu w podróży za ocean.

— Będiesz miał czas zastanowić się nad swą przyszłością — mówił żegnając Stefana, — a nie wychodź nigdzie sam z domu. Niewiele ja sobie robię z grózb bremeńskiego łotra, lepiej jednak zachować ostrożność do chwili, aż sąd zamknie ptaszków pod klucz. — I z temi słowy pożegnał O'Clear towarzysza. Uścisnęli sobie ręce serdeczniej niż należało, rozstając się na kilka godzin. Ale Stefan rad był przy każdej sposobności okazać swoje uwielbienie dla Jakóba, a Irlandczyk pokochał także sierotę.

— Kto wie, co postanowi, tak chętnie wziąłbym go z sobą, on zaś zechce może wrócić do swoich — myślał Jakób a Stefan wracał tymczasem do pokoju inżyniera.

Lubił tu przebywać, bo uwagę chłopca zajmowały brazylijskie płody zgromadzone w różnorodnych okazach.

Było już prawie ciemno, zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie przez szklane drzwi, które wychodziły na mały ogródek. Stefan usiadł w fotelu i bujając się wolno a rytmicznie, patrzył jak jesienny wiatr strącał po żółkłe liście z drzew. Liście mieniły się błyskami purpury i złota. Trzepotane wiatrem, wyglądały niby gromada pstro opierzonych ptaków.

— Niema takich u nas, ale są w Brazylii, pan O'Clear tam pojedzie, mógłbym i ja pojechać — myślał Stefan, przypominając sobie ubarwione okazy owadów, które widział w zbiorach inżyniera. — Pojadę, zobaczę! — powtarzał, to znów żał mu się robiło matki O'Cleara. Byłby jej synem, on znajda, sierota; zobaczyłby księdza proboszcza, który pewnie wrócił już z Karlsbadu.

(d. c. n.)

PRIMA-APRILIS!

MONOLOG.

Edzio (*wchodzi i kłania się publiczności*). Myślicie państwo, że ja was zwieść nie potrafię? ho, ho! to dopiero zobaczymy. Ja przecież zwiódłem już dzisiaj sześć osób. Właściwie mówiąc, nie były to wszystko osoby, bo do kompletu doliczam także naszego Nerona, którego doskonale wyprowadziłem w pole. Zawołałem go, pokazałem mu kawałek cukru, a potem sam go zjadłem. Zosia, która tak się roztkliwia nad wszystkimi psami i kotami, że powinna koniecznie zapisać się do „Towarzystwa ochrony zwierząt,” powiedziała mi, że ja nie *zwiódłem* ale *zawiodłem* Nerona, i że to szkaradnie z mojej strony — ale ja myślę, że to był koncept wcale dobry. Inne osoby równie dowcipne zwieść mi się udało — aha, znowu zaliczyłem Nerona do osób — no, cóż dziwnego? gdy ktoś się nazywa tak, jak cesarz grecki, można się pomylić. (*po pauzie*) Jakto? powiadacie państwo, że Neron, to nie był cesarz grecki, tylko rzymski? eh, czyż to nie wszystko jedno? Grecya i Rzym tak blisko siebie leżały za dawnych czasów, że ja tam między niemi nie robię wielkiej różnicy. A zresztą, to już wszystko tak dawno przeszło, minęło, skończyło się, czy to warto przeciążać sobie umysł takimi wiadomościami, z których już teraz nie nikomu nie przyjdzie? Bo nie mówię, jak kto ciekawy, to i owszem, niech się uczy — ale ja n. p. nic a nic takich rzeczy ciekawy nie jestem, a wszyscy profesoro- wie, biorą mi to za złe, jakby to już była nie wiem jaka

wina. W domu znowu przeciwnie, wiecznie łąją mnie za to, że jestem zanadto ciekawy — oj, trudno to ludziom dogodzić! Raz nawet zrobiła się straszna awantura z tego, że mnie wujcio zobaczył stojącego za blisko drzwi, po za którymi rodzice, dziadzio i ciocia mieli jakąś ważną rozmowę. Dla mnie, to nie było wcale za blisko, bo ledwie, że piąte przez dziesiąte słyszałem jakieś słowa, a właśnie te słowa odnosiły się do mnie i do ostatniej cenzury szkolnej, na której były, były no! były przypadkiem dwie duże dwójki. No proszę państwa, czy taka rozmowa mogła kogoś obchodzić więcej niż mnie? — czy to dziwne, że jej się choć z daleka przysłuchiwałem? — A wujcio podniósł zaraz wielką wrzawę — przerwał rodzicom pogadankę, mnie narobił nieprzyjemności i jeszcze był przekonany, że spełnił szczytny obowiązek. Powiedział mi przecież (*naśladowając ton wujcia*): „Pamiętaj chłopcze, że choć dziś masz żal do mnie, kiedyś będziesz mi prawdziwie wdzięczny za to, że zwróciłem uwagę na szkaradę twego postępku” — (*naturalnym głosem*) No ja nie wiem, co będzie kiedyś, bo któż przyszłość przewidzi — ale w każdym razie, gdy sobie przypomnę zakończenie całej tej sprawy, to widzę, że do tego „kiedyś” jeszcze bardzo daleko.

Zresztą, z tej rozmowy rodziców nie mogłem się dowiedzieć nic nowego — nawet te dwie dwójki, które znalazły się na cenzurze, nie były dla mnie żadną nowiną. Ja od razu, jak mnie tylko profesor wywoła, domyślam się, na czem się skończy. Tępy nie jestem — owszem orjentuję się dość szybko w sytuacji, a zresztą, praktykuję już w tej klasie drugi rok; pierwszą wystudyo wałem gruntownie — bo to i tu, i na prowincyi się rok było — to już przecie człowiek mógł nabrać trochę doświadczenia. Ja nawet nie potrzebuję zaglądać do dziennika, co mi tam profesor zapisuje; poznam z samego ruchu ręki. Jak trochę dłużej piórem rusza, to, niedostatecznie — a jak trochę krócej, to naturalnie: dostatecznie — cóżby było innego? Ale w moich stopniach, owe „krócej” dosyć rzadko się zdarza. Wielkiej rozmaitości niema dla mnie w dzienniku, to też skoła jużby mi się strasznie uprzykrzyła, gdyby nie to, że siedzę w ostatniej ławce i mogę z tego stanowiska wygodnie przypatrywać się, co robią wszyscy koledzy. Niektórzy — a nawet większa część — to nie robi nic ciekawego: notują wykład profesora, rysują mapy, piszą wypracowania — z takich to nie mam żadnej rozrywki. — Ale niektórzy to są bardzo sprytni chłopcy i miewają wcale dobre pomysły. N. p. Antoś Wyszczersalski za jednym pociągnięciem ołówka lub pióra, nie odrywając go wcale od papieru, umie wyrysować doskonale: psa, kota i siebie samego — wszystko ogromnie podobne! — A Jaś Dajewicz znowu nie rysuje ale wygina z papieru pyszne mopsy jedne ze spuszczoneimi ogonkami — te są niby smutne — a drugie z podniesionemi, te znowu wesołe, rozbrykane. Te smutne zwłaszcza, to taką mają kapitalną minę, takie jakieś rozpaczliwe, że pękać ze śmiechu! — Ot zdaje mi się, że nawet mam jednego w kieszeni, zaraz pokażę, (*szuku po kieszeniach i wydobywa złożony papier*) Aj, to nie mopsik — to moja cenzura. Może państwo zechcecie przeczytać? przekonacie się, że nie nic nie błądował. Już to wszystko można mi zarzucić, ale że bym się przechwalał — to już nie. Ot zajrzyjmy do niej — jak tam miało być? Dwójka, dwójka prawda? (*śmiejąc się, pokazuje cenzurę*) Aha! prima-aprilis, w mojem świadectwie, na szczęście, same czwórki — a w dziedzi państwo, że mi się udało was zwieść! Wszystko nieprawda: i o podsłuchiowaniu i o dwójkach i o wujaszku. (*z żartobliwą wymówką*) A państwo zaraz mi uwierzycie! czy to ładnie? czy to ja już wyglądam na takiego, co same dwójki bierze i pod drzwiami podsłuchuje? Żebym był taki ostatni, to bym nikomu nie śmiał w oczy popatrzeć; a nie dopiero występować z humorystycznymi monologami! — No, teraz sam już nie wiem, czy mam być dumny, że potrafiłem, tak poważnie grono wyprowadzić w pole, czy też się tem martwić. Bo swoją drogą, to takie bardzo pochlebne dla mnie nie jest, że mi się moje prima-aprilis tak nadzwyczajnie udało — wielkiej chwały w tem dla mnie niema.

Na przyszyły rok, już sobie coś lepszego obmyślę. A tymczasem: moje uszanowanie państwu! (*kłania się i wychodzi*).

UWAGA: Monolog ten może być z bardzo małemi zmianami deklamowany, zarówno przez dziewczynki, jak przez chłopców — jedynym warunkiem powodzenia jest mieć naprawdę dobrą cenzurę — inaczej cały dowcip przepada. Ale nie wątpimy, że nasi czytelnicy, wszyscy bez wyjątku, mogą zadość uczynić temu warunkowi.

ZAGADKA.

Lubią mnie kiedym słodka, nie lubią gdym sprzeczną.
Bywam czasem szkodliwa, częściej pożyteczna.
Raz pysznię się na stole, drugi — w komin kryję,
A nie gniewam się wcale, choć najmocniej biję.
Znają jednak złość moją, olkucy górnicy,
Którzy brużdżą od wieków w całej okolicy.
W Azji jestem przylądkiem dość znacznym z natury,
Albo też gór łańcuchem, piętrzącym się w chmury.
A jestem też i miastem, aż w dwóch częściach ziemi;
I cieszę się uznaniem pomiędzy wiernemi
Sługami Mahometa w uczuciu wszelakiem,
A nakoniec u ludu bywam też i ptakiem.

ARYTMOGRYF.

ul. Niezabudka.

- 1) 3, 6, 4, 2, 1. Miasto we Włoszech.
- 2) 10, 7, 8. Zwierzę przeuwające.
- 3) 7, 8, 9, 5. Liczebnik porządkowy.
- 4) 11, 1, 12, 14, 5, 13. Owoc gatunku palmy.
- 5) 15, 16, 1, 17, 1. Cnota główna.
- 6) 16, 11, 1, 8. Uczestnik wyprawy Argonautów.
- 7) 6, 11, 16, 8, 8, 7, 4. Słynny fizyk i wynalazca.
- 8) 13, 16, 18, 1. Drzewo liściaste.
- 9) 6, 3, 16, 18, 14. Kraj afrykański.
- 10) 4, 1, 17, 15, 1, 13. Zwierzę ssące morskie.
- 11) 1, 22, 6, 13. Postać biblijna.
- 12) 2, 13, 6, 1. Rzeka w Finlandyi.
- 13) 19, 16, 6, 8, 13, 1. Rzemieślnik.
- 14) 21, 1, 15, 16, 8, 21, 1. Bohater polski z XV w.
- 15) 1, 17, 1, 19, 20, 4, 6. Prządka mitologiczna.
- 16) 12, 1, 17, 1, 22, 6, 13, 1. Dawna broń polska.
- 17) 7, 18, 1, 13. Kosztowny kamień.
- 18) 9, 7, 8, 12, 15, 1. Miasto w Cesarstwie.
- 19) 2, 13, 9. Twierdza w Wirtembergii.
- 20) 11, 1, 15, 16, 11. Król izraelski.
- 21) 7, 8, 21, 19, 21, 6, 18. Broń starożytna.
- 22) 12, 1, 17, 9, 16, 4. Farba.
- 23) 2, 10, 10, 1. Dopływ Dżwiny,
- 24) 19, 20, 1, 17, 7, 4. Przewoźnik mitologiczny.
- 25) 21, 16, 6, 22, 1. Ptaszek krajowy śpiewający.
- 26) 1, 9, 8, 14, 6, 17, 11, 1, 9. Miasto w Holandyi.

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na kwartał 2-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: Alleluja, wiersz p. Z. M. (z ryc.) — Na rezurekcję, przez Z. Daszewską. — O Miłosierdziu Bożem, z nauk ks. Gralewskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Święte niewiasty (ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Prima-aprilis, monolog. — Łamigłównki i rozwiązania. Dodatek: Wielkanoc, wiersz (z ryc.) — Pożyteczny Henryś. — Ofiara śmigusa, wiersz przez L. M. — Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dworzani królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Zastąpić liczby literami i utworzyć wyrazy, aby pierwszy rząd liter złożył dawne przysłowie. Jednakowe liczby oznaczają jedno i też same litery.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go.

Szarady: Ku — ro — pa — twa.

Łamigłównki w kwadracie:

W i e l o r y b
S a l o m o n a
A g r i c o l a
K r a s i c k i
B e r e z y n a
K r z y ż a c y
L a k e d i w y
H o l a n d y a

Od Redakcyi.

Czas leci szybko, jak na skrzydłach; oto kończy się już pierwszy kwartał 1902 r. wiosna za pasem i jasny obraz wakacyi majaczeje już w dali. Ale redakcyja „Wieczorów” nie ustaje w pracy i wciąż nowe przygotowuje rzeczy dla swych miłych czytelników. Uchylimy na chwile rąbek zasłony, która kryje zawartość naszej teki! W II-im kwartale, oprócz dalszych ciągów losów Stefka Lutego i rodzeństwa z Suchowa, rozpoczniemy między innymi druk ciekawego opowiadania p. t.

Pierwsi ludzie na księżycu.

z licznymi ilustracyjami, a poprzedzimy je artykułem naukowym o tym wiernym towarzyszu ziemi — pióra prof. St. Kramsztyka.

Dla młodszych naszych czytelników mamy też zapas wesołych komedijek i powiastek oraz szereg artykułików z otaczającą a ukrytej przed oczami przyrody przez Maryę Weryho. Dowiemy się z nich, co pewien chłopczyk Władek Zawichrowski „znalazł w błotach i kałużach.” Będą też konkursy i zadania do nagrody.

W IV-ym kwartale rozesłemy wszystkim prenumeratom jako **premium bezpłatne** oddzielną książkę, której tytuł później podamy.

Przypominamy też naszym czytelnikom, że mogą nabywać w redakcyi po cenach znacznie niższych **cztery powieści Juliusza Verne'a**, których wykaz i ceny podaliśmy w n. 1-ym oraz **Słownik rzeczy starożytnych polskich Z. Glogera**.

WIELKANOC.

Już po domach ruch nieznanym
Wszystkie twarze uwesela:
Czyszczą domy, bielą ściany
Na przyjęcie Zbawiciela.
Z nad kominów płyną dymy,
Że aż poczuć je z daleka;
To obyczaj nasz rodziny,
To święcone się wypieka.

Ksiądz przychodzi w komży, w stule,
Kędy pascha już nakryta,
Dzieci, starszych wita czule,
I nad stołem modły czyta:
— Boże, któryś na pustyni
Błogosławił pięciu chlebom,
Niech Twa łaska nam przyczyni,
Chleba, życia ku potrzebom.

W. S.



Ksiądz przychodzi w komży, w stule...

Pożyteczny Henryś.



oja mamo, prawda, że mamusia woli mieć synka niż córeczkę, bo synek daleko pożyteczniejszy?

Mama roześmiała się na te słowa i głaszcząc „pożytecznego” Henrysia po jasnej główce, rzekła:

— Kiedy mnie Pan Bóg dał synka a nie córeczkę, to cóż robić, muszę się nim cieszyć, ale nie dlatego, żebym z niego miała taki bardzo wielki po-

zytek — zwłaszcza dzisiaj, to już doprawdy córeczka więcej mogłaby mi być pomocną w gospodarstwie, bo dziewczynki są zazwyczaj rozważniejsze i praktyczniejsze. Córeczka wydałaby niejedno ze spiżarni, pomogłaby ustawiać święcone na stole, obszylaby mi suknię świeżą koronką, a ty, mój Henrysiu, będziesz tylko z założonymi rączkami przypatrywał się, jak ja to wszystko robić będę, i nawet twoje sukienki i bieliznę muszę wyjąć z szafki, i jutro rano umyć cię i ubrać.

— Oj moja mamusiu — westchnął zmartwiony Henryś — to więc synek całkiem na nic się przydać nie może?



— I owszem — pocieszała go mama — synek zwłaszcza, gdy podrośnie, będzie, mam nadzieję, pożytecznym człowiekiem, a z małego pieszczocha zamieni się w opiekuna swojej mateczki; będzie ją na spacerach prowadził pod rękę, żeby się nie zmęczyła...

— I oganiał od psów takim ogromnym kijem, bo mężczyźni niczego się nie boją — dokończył z energią Henryś.

Mama odeszła do gospodarstwa, bo dziś przy Wielkiej Sobocie miała rzeczywiście bardzo dużo zajęcia, a Henryś pozostał sam, rozmyślając nad tem, w czym on mógłby dopomóc swojej mamusi.

— Do spiżarni nie mogę pójść, bo mężczyźni nigdy z kluczykami nie chodzą, nawet jak się tylko na próg kuchni pokażę, zaraz mi kucharka chce ścierkę przypasać; święconego nie mogę ustawiać, bo mamusia mówi, że rodzenki z placków wyskubuję, koronki do sukni nie mogę przyszyć, bo nie umiem, ach, już wiem co zrobić!...

I Henryś, klasnąwszy w ręce z radości, zabrał się do roboty.

W godzinę potem, mama wszedłszy do pokoju, zastała go w najnowszej sukience, której dotąd nie miał jeszcze ani razu, w kapeluszu, siedzącego cichutko jak myszka na kanapce mamusi.

— Henrysiu, co ty robisz? Co znaczy to ubranie? — zawołała zdziwiona.

— Mamusiu, to ja już tak na jutro, żeby tobie pomóc — odparł rezolutnie Henryś.

— Jakto, żeby mnie pomódz?

— A no, dlatego, że masz tak dużo roboty, więc żebyś choć nie miała kłopotu z mojem ubieraniem, ja już sam się ubrałem i jestem całkiem gotów na jutro do kościoła.

— Ależ dziecko — zawołała mama, śmiejąc się mimowoli z dobrych chęci synka, — przecież na noc będziesz się i tak musiał rozebrać.

— Na noc... — Henryś zmieszał się trochę, ale taka drobnostka nie mogła go długo zastanawiać.

— To ja się wcale kłós nie będę — oświadczył z gotowością — naprawdę mamusiu, mnie się nic spać nie chce, ja nigdy w Wielką Sobotę nie śpię, bo myślę o święconem i pisankach, to nawet oczek nie zmrużę.

Mama jednak nie chciała korzystać z dobrych zamiarów Henrysia, tylko coprędzej przebrała go w codzienną sukienkę i wzięła z sobą do jadalnego pokoju, gdzie zaczęto już ustawiać stół ze święconem.

Henryś pomagał jak mógł, przyczem złamał tylko jeden mazurek, ale gdy go położono na stół, to nawet znać nie było, że jest przełamany. Na wielką radość chłopczyka pozwoliła mu mama, żeby sam pozatykał zielone gałązki bukszpanu w wierzchołki czterech bab. Dokonawszy tego zadania, Henryś z dumą usadowił się w dużym fotelu, myśląc, że pewno niejedna córeczka nie tyle co on pomogła swojej mamusi w świątecznych przygotowaniach.

Wkrótce nadszedł ksiądz i wodą święconą z cynowego talerza poświęcił stół a potem pokropił dom cały i wszystkich domowników, a Henrysiowi darował śliczny obrazek, przedstawiający św. Jana z barankiem. Po odejściu księdza zapalono lampę i Marysia wniosła do

pokoju samowar. Była to uroczysta chwila, bo przy wieczornej herbacie w Wielką Sobotę mama zaczynała zwykle jeden kołacz i placek z serem.

— Henrysiu, przynieś z mojego pokoju kluczyki, bo nie mogę zaparzyć herbaty — rzekła mama.

Henryś zerwał się, gotów spełnić polecenie, ale we drzwiach stanął jak wryty: w dalszych pokojach było tak ciemno, tak niemiło! Gdzież to można szukać kluczyków po ciemku? Naprawdę choćby ktoś chciał najbardziej usłużyć mamie, to tego nie potrafi.

— Dlaczego nie idziesz, Henrysiu? Kluczyki leżą na stoliku przy łóżku, znajdziesz je odrazu.

— Jużbym wolał być córeczką i chodzić w dzień do spiżarni po masło, niż do ciemnego pokoju po kluczyki — pomyślał Henryś; wiedząc jednak, że mężczyźni bać się niczego nie wypada, zebrał całą swoją odwagę i jak mógł najprędzej przebiegł ciemne pokoje do stolika z kluczykami.

W pół minuty potem powracał, tryumfujący i wołał już od progu:

— A co, mamusiu, widzisz, że synek może się więcej przydać, niż córeczka, bo dziewczynki są zawsze tchórze i bałyby się chodzić po ciemnych pokojach. A mnie to nie szkodzi, i jak chcesz, to jeszcze raz pójdę, bo przecież ja jestem mężczyzna.

Mama ucałowała dzielnego mężczyznę i dała mu kawałek placka z figami, który się przypadkiem odłamał, a Henryś zajadając go, myślał, jak to smakuje święcone, przy którym się samemu choć trochę pracowało.

I. M.

Ofiara śmigusu.

Na podwórku w studni
Dudni woda dudni,
Spłatać figła łatwo,
Odrobić go trudniej.

Chciał kosztem siostrzyczki
Jasio się zabawić,
Chwycił od niej lalkę,
By jej śmigus sprawić.

Żartował, żartował,
Że ją wrzuci w wodę —
A tu z takich żartów
Łatwo o przygodę,

Dziwi się Azorek
Czemu Zosia smutna —
Nie wie, że ją strata
Spotkała okrutna:

Lalka, nieboraczka,
Poszła na dno studni —
Łatwo zrobić szkodę,
Odrobić ją trudniej.

I. M.

POSELSTWO Z KRAINY CZARÓW.

(Dalszy ciąg).

Ale Staś wołał, Tolcia wołała, bona czekała w sieni i brzydko byłoby się spóźnić.

— Bywajcie zdrowe, dzieci! — powiedziała mama. — Przyjdę do was za pół godziny. Chcę zobaczyć menueta i krakowiaka.

Na schodach przed gankiem głównego domu, gdzie się odbywały lekoye tańca, dzieci zastały już bonę z drugiej willi z Janinką, najlepszą z tancerek.

— Nic nie pomoże, Janinko — mówiła bona. — Choćbym poszła do domu, nie powrócę na czas. To twoja wina. Chciałaś je nieść sama...

Janinka, biedna Janinka, była uosobieniem rozpaczy. Łzy płynęły jej po twarzy, a usta drżały.

— Co się stało? — zapytała Helusia.

— Co to? Janinko! — zawołał Staś.

— Nie płacz — dodała Tolcia.

Ale Janinka wciąż zalewała się łzami.

— Zgubiła w drodze jeden pantofelek! — objaśniła bona. — Upierała się, że sama je będzie niosła.

— Zgubiła pantofelek! — zawołała Helusia. — Nie będzie mogła tańczyć w wysokich bucikach menueta!

— Właśnie najbardziej jej idzie o tego menueta — mówiła bona.

— Zaczekaj, Janinko! — szepnął Staś. — Pobiegnę popatrzeć czy nie znajdę na drodze twojego pantofelka.

— Nie! lepiej będzie, jeżeli ja pójdę — przerwała bona. — Jeśli znajdę, to wrócę zaraz, a tymczasem niech Jańcia siądzie i czeka.

Helusia popatrzyła na swoje pantofelki, które jej bona włożyła.

— Moje pantofelki byłyby w sam raz na Janinkę — powiedziała, zamyślając się.

— A cóżby Helusia zrobiła bez pantofli? — zapytała bona. — Może pani Jordanowa będzie miała jakie stare do pożyczania Janince.

— Pobiegnę do niej i zapytam! — zawołała Helusia, i wybiegła z pokoju.

Janinka płakała ciągle. Po chwili weszła pani Jordanowa, trzymając Helusię za rękę.

— Bardzo cię żałuję, Janinko! — powiedziała. — Jeżeli bona nie znajdzie, to będziesz musiała siedzieć przy mnie i przyglądać się tańczącym. Słyszę już skrzypce pana Puchały. Czy wszyscy gotowi? Co to znaczy, Stasiu?

Staś rzucił swoje trzewiki na ziemię i patrzył zdumiony na torbę, w której były jego rzeczy.

— W mojej torbie jest para pantofli! — zawołał. — Skąd one się tu wzięły?

— Pantofle? — zawołała pani Jordanowa.

— W mojej torbie? — zadziwiła się bona.

Staś wyjął trzewiki i podniósł je w górę.

— To jakieś stare pantofelki — powiedziała Helusia — ale wielkości moich.

Przybiegła też Tolcia i obejrzała trzewiki.

— To te same, które znalazła na łące! — zawołała.

— A poco je włożyłaś do mojej torby? — rozgniewał się Staś.

— Ja ich tam nie kładłam, doprawdy, — usprawiedliwiała się Tolcia.

— No, dzieci! nie traćmy czasu, bo pan Puchała czeka! — upomniała pani Jordanowa. — Chodź ze mną, Janinko!

Wzięła za rękę dziewczynkę, której znowu zaczęło się zbierać na płacz i poszła do salonu, a za nią dzieci. Helusia miała minkę bardzo poważną. Żal jej było serdecznie Janinki, która jako najlepsza tancerka, miała ze Stasiem tańczyć menueta solo; lecz mimowoli przychodziło Helusi na myśl, że jeżeli dla braku trzewiczek Janinka nie będzie mogła tańczyć, to może nauczyciel wybierze ją, Helusię, do tego popisu.

(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsze u pewnych zwierząt strach myśliwca budzi
Chociaż go znajdujemy u każdego z ludzi,
Co więcej nawet ziarna ze swego ukrycia
W głębi ziemi puszczają, jako zaród życia.
Drugie trzecie poważne, echem swego brzmienia
Nadaje innym tonem potrzebne odcienienia.
Wszystko wraz jako u nas zdawien dawna bywa,
Zjawia się wśród innego na stole mięsiwa.

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

ul. Biały Gołąbek.

Dwa parostatki wypływają jednocześnie z dwóch portów, odległych od siebie o 135 wiorst. Jeden robi wiorst 7, drugi 8 na godzinę. Po wielu godzinach spotkają się?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11.

Szarady: An — to — ni — na.

Łamigłówki krzyżowej:

		C		
		l	e	n
	D	e	l	f
D	n	i	e	s
	U	r	b	a
		R	e	n
			s	

Łamigłówki liczbowej:

2	13	14	5
7	1	11	15
9	12	3	10
16	8	6	4

Skrzynka do listów.

Jadwidze Mar., żądaną książkę i dodatek wysyłamy. Myszka za naszym pośrednictwem przesyła serdeczne pozdrowienia dla *Tuni* w Kijowie, zna jej braciszek Józia i Wa-

cia, cicię Zosię bardzo kocha, a na zakończenie pyta, czy odgadła Tunia, kto się ukrywa pod pseudonimem Myszkki?

Jadzi N. polecici możemy książki: K. Góralczyka, Al. Zdanowicza, lub Tatomira (cena 1 r. 50 k.), a do literatury podręcznik K. Króla i I. Nitowskiego (cena 2 r.).

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Baba Jaga, Konwalia i Niezapominajka, Mściwy Jastrząb, Grażyna, Kotka z Pilawy, Rybitwa z nad Wisły, Janek I., Jagienka, Helunia, Zosia z pod Skalbierza, Jadwiga Weisówna, J. Mularski, Pensyonarka z nad Warty, Irena Mokrzecka.

Różowemu Fiołkowi i Ligii. Żałuję, że z powodu braku miejsca nie mogłam wam odpowiedzieć w przesyłym numerze. Ćwiczenie choć dłuższe przyjęte będzie; niepotrzebnie przepraszacie mnie w zakończeniu za nudne listy, ja po ich przeczytaniu przeciwnego byłam zdania.

Ofiarę twoją **Marylko J.** oddałam na wpisy dla biednej dziatwy. Niewątpliwie milsza ona była twej matce od kwiatów, dla niej przeznaczonych; dobry Bóg, który czyta w sercach dzieci, prosby twej wysłucha.

Wielkopolance. Dziękuję ci za serdeczne wyrazy, świadczą, że poznałaś „świergot Jaskółki”, której prowadzenie korespondencji dozwala przyjazny z wami zawrzeć stosunek. Ślicznie być musi u was w S. I wystawiam sobie ten dwór tulący się pod cieniem starych lip, obszerny ogród i ciągnące się za nim pola i łąki. Wkrótce wiosna nad temi polami, i łąkami roztoczy swe panowanie uroczne. Wiosna, która jest niejako obrazem waszej szczęśliwej młodości, w ciepłe uczuć rodzinnych. **Słowika i Figlarkę** pozdrów odemnie, a sama napisz niezadługo.

Ucieszyłam się serdecznie droga **Śnieżycy**, żeś nie zapomniała o mnie. Smutek twój dzielę i nie dziwię się, że tak bolesne przejścia rzucają cień żalobny na twoją młodość. Ludzi, a nawet dzieci szczęśliwych bezwzględnie niema na ziemi, bo dopiero w życiu szczęśliwym mamy obiecane szczęście zupełne. Młodość, mimo dotkliwych strat i leż żaloby ma właściwą sobie moc nie upadania pod brzemieniem ciosów, ma promiennosc ducha, której blask zaciera snadniej, niż w późniejszym wieku, ślad smutków i przeciwności życia. Ty ponad to masz obowiązek być pociechą i jasnym promykiem twej mamy, a jako duża już paniąka powinnaś się starać przy nazwie córki zasłużyć na miano towarzyszki i przyjaciółki. Co Juraś porabia, czy umie już czytać. Pani B. dziękuje ci za pamięć i nawzajem pozdrowienia przesyła.

Ofiarę **Stokrotki i Maczka Czerwonego** zapisano i ogłoszono. Chcąc zaspokoić waszą ciekawość donoszę, że fotografie widziałam w W. u waszej babuni. Oczekuję dłuższego listu.

Kto wie **Danusiu**, czy poznałszy mnie, nie zmieniłabyś zdania co do jaskółek i czy te, krążące pod nad twą główką, nie zyskałyby na porównaniu. Bardzo zajmująco opisałaś mi, jak spędzasz dzień cały; zamilowanie do muzyki powinnaś coraz więcej rozwijać, bo zwykle zamilowanie do pewnej sztuki idzie w parze z talentem. Za ładną kartkę dziękuję ci bardzo.

Od ciebie tylko zależy **Halko z nad Teterowa**, byśmy się poznały i zaprzyjaźniły, a właściwie mówiąc od listów twoich, bo moją znajomość z wami „listowną” nazwać można. Jeżeli częściej przysyłać mi będziesz listy podobne ostatniemu, to wkrótce, będę cię lubiła równie serdecznie jak Łoch... którą ty stawiasz na pierwszym miejscu w rządzie mych korespondentek z ostatnich czasów, czemu zaprzeczyć nie mogę, choć w gronie tem znajduje się wiele innych panienek, a mam nadzieję, że i ty je wkrótce powiększysz. Do wszystkich konkursów stawaj śmiało, bo jak to niejednokrotnie na tem miejscu wspominałam, chodzi nietylko o otrzymanie nagrody, lecz i wprawę w zadanej pracy.

Każdy początek jest trudny, więc i tobie **Życzliwy Sokole**, nie od razu udało się trafnie odgadnąć wszystkie zadania, ale nabrawszy pewnej wprawy wszelkie w tym względzie trudności łatwo pokonywać będziesz. Namów Jadzię, by idąc w twe ślady, poznałomiła się ze mną.

Mile mnie witasz twą pierwszą odezwą **Przekornatko**, chiałabym cię zaliczyć do stałych korespondentek. Listów

odbieram tak wiele, że nie zawsze mogę na wszystkie odpisać, stąd też odpowiedzi bywają czasem spóźnione. Cierpliwości mej nie podziwiał, odczytywanie przeróżnego formatu ówiatek zapisanych mniej lub więcej wprawem pismem, sprawia mi prawdziwą przyjemność, a przyjemność niecierpliwości nie sprawadza.

Ciekawskiemu. Pierwszy twój list musiał zaginąć, jeżeliś nań odpowiedzi nie otrzymał. Jak dawno pisałeś? Sądząc z twe-go listu od tej pory musiało parę lat upłynąć, bo pismo i styl wskazują teraz wiele starszego chłopczyka. Korespondencyi między czytelnikami nie drukujemy, bo brak miejsca nie pozwala na to.

Skowronkowi, Różowej Kulce, Leśnej Konwalii i Podolance, za listy, wiadomości i pozdrowienia najserdeczniej dziękuję. Dwojgu pierwszym życzę powodzenia w nauce, **Podolance** powrotu do zdrowia, a **Leśnej Konwalii** dobrej ślizgawki na przyszlą zimę, żeby się mogła wprawić w tej sztuce. Pytały się o was Czarna i Biała Wiselka.

Dowiedziałam się, że **Wańdzia Amroź**, która zaledwie od paru miesięcy uczy się pisać, zaczęła przygotowywać dla mnie liścik, tymczasem zachorowała i dłuższy czas leży w łóżku. Tak mi się jej żal zrobiło, że pierwsza spieszę zapoznać się z tobą, Wańdziu. Wiem też, że chorobę znosisz z wielką cierpliwością. Da Bóg, wkrótce do zdrowia powrócisz, dokończysz list do maie.

Niezapominajka i Konwalia napisały wspólnymi siłami list 10-cio wierszowy, proszą jednak o „dłuższą odpowiedź”, czyż ptaszek od kwiatków ma być wspaniałomyślniejszy?

I ja również chętnie chciałabym cię poznać **Rybitwo z nad Wisły**, z przysłanej fotografii mam jednak pojęcie, jak wyglądasz ty i braciszki, obaj serdeczni moi przyjaciele. Czy Trylogię Sienkiewicza czytasz w opracowaniu dla młodzieży? Życzę ci wesołej zabawy podczas pobytu w Warszawie i polecam się twej pamięci.

Żabusi za śliczną kartkę najserdeczniej dziękuję, będzie prawdziwą ozdobą moich zbiorów.

Dziękuję również za przysłane karty **Łochozwiance, Machedze, P. Staśkowi, Witoldowi K., Małej Oleńce, Lilli ze Żmudzi.**

Jutrzenie. Ma się rozumieć, że radzę ci stanąć do konkursu kaligrafii. Konkurs ogłaszamy nietylko dla ładnie piszących, lecz i dla tych, którzy chcą pismo swe doskonalić. A jeżeli spytasz, jak sobie tę naukę ułatwić, to powtórzę ci, receptę którą przed kilku laty jednej czytelniczce podałam. Weź jedną uncję dobrej woli, trzy drachmy cierpliwości, pięć skrupułów wytrwałości, dziesięć gran pilnej uwagi, to wszystko zmieszaj razem i używaj codziennie przed lekcjami.

Pertowej Muszelce za pozdrowienia dziękuję i życzę jak najszybszego powrotu do zdrowia. Całej powieści „Hrabina” bezpłatnie Redakcja posyłać nie może, wraz z przesyłką pocztową wyniesie 30 kop. Kilka brakujących numerów; możemy wysłać.

Jagienkę, Białego Gołąbka, Kotka z Pilawy i Figlarną Wisienkę witam serdecznie po raz pierwszy w gronie mych korespondentów, a jeżeli nie odpisuję każdemu z osobna, to wybaczenie, bo tylko brak miejsca nie pozwala mi dzisiaj wdać się z wami w dłuższą listowną gawędkę. Jeszcze kilka listów pozostawiam w dzisiejszym numerze bez odpowiedzi, odkładając je do następnego numeru, a tymczasem życzę wszystkim czytelnikom, „Wieczorów” wesołego Alleluja!

Wasza *Jaskółka*.

Na przytułek św. Zofii złożyli w dalszym ciągu: Zosia S. i Dusia S. kop. 50, Zosia Rulikowska 3 rub.

Poprzednio złożone pieniądze w ilości 24 rub. 17 k. oddaliśmy już zarządowi Przytułku d. 15 marca r. b za kwitem Nr. 8 i proszeni jesteśmy o wyrażenie ofiarodawcom serdeczne „Bóg zapłać”.

Na wpisy dla biednych uczni złożyli Józio, Staś i Janek Balińscy — 3 rub. N. B. — 20 kop.